

Zbrodnia Wołyńska

<http://zbrodniawolynska.pl/zw1/czytelnia/polecamy/219,Igor-Halagida-Wolyn-43-czy-faktycznie-swiecono-narzedzia-zbrodni.html>
2018-04-22, 10:46

Igor Hałagida, Wołyń '43 – czy faktycznie „święcono” narzędzia zbrodni?

Jedną z kluczowych scen najnowszego filmu Wojciecha Smarzowskiego, która mocno zapada w pamięć, jest scena „poświęcenia” przez duchownego greckokatolickiego narzędzi, które następnie służą ukraińskim chłopom do okrutnego mordowania polskich sąsiadów. Jej wymowy nie osłabia obraz drugiego kapłana, który przyjmuje postawę odwrotną. Fakt, że w recenzjach i dyskusjach, jakie pojawiły się po premierze „Wołynia”, wątek ten jest mocno eksploatowany, każe jeszcze raz powrócić do tego zagadnienia.

Krytycy tej sceny słusznie zwracają uwagę, że na prawosławnym Wołyniu nie było parafii greckokatolickich (przetrwało za to kilkanaście parafii rytu bizantyjsko-słowiańskiego, neounickiego; kilku jego duchownych zostało zabitych przez ukraińskie podziemie). Nie zmienia tego faktu także to, że w 1940 roku, w ramach „czyszczenia” pasa przygranicznego Sowietów wysiedlili niektórych duchownych greckokatolickich z Przemyskiego na Wołyń. *Nota bene* nieprawdziwą jest funkcjonująca w literaturze przedmiotu informacja jakoby jeden z tych kapłanów – ks. Michał Bak ze Śliwiny zginął razem z rodziną w Aleksandrii w pow. Równe w czasie napadu na Polaków. Faktycznie duchowny zmarł 3 marca 1943 roku na raka, a jego krewni mieszkają obecnie we Lwowie.

Pogrzeb Polski, pogrzeb Ukrainy

Kościół prawosławny na Wołyniu, oderwany od warszawskiej metropolii (początkowo niemiecko-sowiecką linią demarkacyjną, później granicą między Generalnym Gubernatorstwem a Komisariatem Rzeszy „Ukraina”) uległ w czasie wojny dużym przeobrażeniom. Najbardziej widocznym zjawiskiem było jego rozbitcie na dwa nurty: autonomiczny (uznający zwierzchnictwo Patriarchatu moskiewskiego) i autokefaliczny (samodzielny). Podział ten był podtrzymywany i sztucznie pogłębiany przez Niemców. Także duchowieństwo prawosławne nie było jednolite, w jego szeregach stosunkowo niewielu było ukraińskich działaczy narodowych. Przypuszczać jednak można, że niewielu z nich odczuwało – zwłaszcza po wydarzeniach końca lat 30. (niszczenie świątyń prawosławnych i „nawracanie” na katolicyzm) – żal po klęsce wrześniowej.

„Nareszcie to nadeszło. Byłem tego dnia w Łucku. Dostrzegłem, że bardzo dużo ludzi zbierało się koło megafonów i w skupieniu wsłuchiwało się w zdecydowane słowa mówcy. Nie miałem czasu przysłuchiwać się i dalej załatwiałem swoje sprawy w mieście, gdy nagle usłyszałem ze wszystkich stron alarmujące głosy: »Wojna! Wojna!«. Pytam jednego »obywatela«, kto walczy i o co wojna? A on mi odpowiedział przez łyżę: »Niemcy napadli na Polskę, będzie wielka bieda!«. Nie chciało się wierzyć i poszedłem do znajomych Polaków, którzy mieli radio. Tu zastałem całą rodzinę we łzach. Przekonawszy się, że wojna naprawdę się rozpoczęła, pożegnałem się i pośpieszyłem do Romanowa, żeby ogłosić ludziom radosną wiadomość. Ale nie ja pierwszy powiadomiłem o wojnie. Kto miał radio, to już usłyszał tę radosną nowinę. O wojnie wiedziała cała wieś. Ukraińcy cieszyli się. Polacy płakali”

– zapisał w swym dzienniku 1 września 1939 roku prawosławny duszpasterz z Rokitna pow. Sarny ks. Maksym Fedorczyk.

W znanych dotychczas relacjach nie ma informacji o urządzaniu „pogrzebów Polski” na Wołyniu w taki sposób, w jaki pokazuje film Smarzowskiego. Do wydarzeń takich – mających korzenie pewnie gdzieś w ludowej tradycji (symboliczny pogrzeb jest najprostszą metodą kreowania rzeczywistości) – dochodziło w Galicji, zresztą długo przed II wojną światową. Przywołać tu można klepsydry z 1918 roku informujące o „zgonie” monarchii austro-węgierskiej, uroczyste zakopywanie przez chłopów kajdan w 1938 roku w rocznicę zniesienia pańszczyzny (co przez część Polaków było odbierane jako „pogrzeby Polski”, tym bardziej że miały one miejsce w dwudziestą rocznicę niepodległości), czy też „pogrzeby Ukrainy” w marcu 1939 roku, po upadku Ukrainy Karpackiej (do takiego wydarzenia, zorganizowanego przez polskich gimnazjalistów, doszło m.in. w Brzeżanach).

Czy w „pogrzebach” z 1939 roku brali udział duchowni greckokatolicki? Trudno powiedzieć. Nie można wykluczyć, że gdzieś taki fakt miał miejsce. Wydaje się jednak, że tak naprawdę doszło tu po latach do pomieszania wydarzeń i chodziło o symboliczne mogiły-kurhany, wysypywane po 1941 roku dla upamiętnienia ukraińskich ofiar walk o niepodległość. „Po wsiach, gdzie były cerkwie na specjalnych placach i cmentarzach wysypywano duże mogiły-kurhany” – wspominał po latach jeden z ówczesnych ukraińskich świadków takiego wydarzenia. „Wznoszono je na pamięć bohaterów, którzy zginęli na wszystkich wojnach i walkach za wolność narodu. W różne rocznice narodowo-patriotyczne i na większe święta religijne na te mogiły wychodziły z cerkwi uroczyste procesje. [...] W naszej parafii przy cerkwi w Lalinie [pow. Sanok] też taką mogiłę wysypano. Na niej, według zwyczaju, postawiono piękny żołnierski, brzoźowy krzyż. Na Zielone Święta szła na tę mogiłę procesja i my młodzi, od Ukraińców z Pakoszówki też w tym czasie nieśliśmy wieniec. W związku z tymi uroczystościami niektórzy z ludzic z polskiej strony, nie znając sprawy, mylnie posądzali Ukraińców o grzebanie Polski”. Znany też jest przypadek (Zagórz pow. Sanok), gdy duchowny greckokatolicki odmówił udziału w „pogrzebie” Polski organizowanym przez miejscową ukraińską młodzież, słusznie uznając ją za „imprezę o charakterze politycznym”. Takie mogiły-kurhany były też wysypywane i uroczystie poświęcano (z inspiracji OUN-B) po 1941 roku na Wołyniu.

Warto dodać, że podobne „pogrzeby” były też w owym czasie urządzone w sowieckiej strefie okupacyjnej. W taki sposób opisał po latach jedno z takich wydarzeń na Pokuciu polski świadek: „Na samym przedzie szedł Icek Goldberg – przepasany pasem z nabojami. Inni Żydzi mieli na rękawach czerwone opaski i nieśli na ramionach czarną podłużną skrzynię, na której z każdej strony było napisane wielkimi, białymi literami: »Polska«. Za trumną szła dość liczna grupa przeważnie młodych Żydów oraz wielu Ukraińców[...] Myśleliśmy z początku, że Żydzi idą z tą trumną na okopisko. Ale okazało się, że nie, że poszli dalej, aż na ścierwisko, gdzie chłopci wyrzucali padnięte bydło. I tam, wśród ogólnego rejuwachu, trumna z napisem »Polska« została wrzucona do ohydneho, pełnego śmierdzących kości i ścierwa dołu”. W owych „ceremoniach”, organizowanych „pod Sowietami” duchowni nie brali udziału.

Kapelani UPA?

W literaturze historycznej (a jeszcze mocniej w publicystyce) rozpowszechniony jest pogląd, że w

Ukraińskiej Powstańczej Armii funkcjonowała instytucja kapelanów polowych. Nie jest to zgodne z prawdą, a przyczyną tego nie była też, jak twierdzą niektórzy autorzy, specyfika wojny partyzanckiej. Sama idea kapelaństwa wojskowego wymaga bowiem „współistnienia” dwóch niezależnych aspektów: sformalizowanej instytucji czy struktury o takim charakterze oraz zgody wyższych władz kościelnych (biskupa) na pełnienie przez konkretnych duchownych takich funkcji. W przypadku ukraińskich oddziałów leśnych, w tym UPA, nie występował żaden z tych czynników. W publikacjach można wprawdzie natrafić na wzmianki, jakoby w Łucku bp. Polikarp (Sikorski) zorganizował „kurs dla kapelanów UPA”. Jednak nie wydają się one wiarygodne.

Zorganizowane przez tego hierarchę półroczne kursy dla duchowieństwa (prawdopodobnie *de facto* w Łucku odbył się on jedynie w 1942 roku i był analogiczny do tych, jakie odbyły się równocześnie w Połtawie, Dniepropietrowsku, Charkowie i kilku innych miastach) miały na celu podniesienie wykształcenia teologicznego kandydatów na duchownych i był podyktowany brakiem zgody władz niemieckich na otwarcie w tym mieście prawosławnego seminarium. Dlatego – jeżeli już – mówić należy o „nieformalnych kapelanach” bądź „duchownych czasowo przebywających przy oddziałach”, co zresztą było ich indywidualną decyzją.

Nie oznacza to, że część niższego duchowieństwa nie sympatyzowała (przynajmniej początkowo) z ukraińskim podziemiem nacjonalistycznym. Wiadomo też o kilku duchownych prawosławnych, którzy przyłączyli się do oddziałów UPA na Wołyniu i pełnili w nich funkcję duszpasterską (odprawiali nabożeństwa, spowiadali, grzebali zabitych itp.). Dotychczas ustalono, że było 9 takich kapłanów. Nie jest to imponująca liczba, szczególnie jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w 1943 roku funkcjonowało kilkaset parafii prawosławnych (obydwu nurtów prawosławia). Prawdopodobnie więcej księży udzielało doraźnej pomocy np. w dostarczaniu żywności czy medykamentów. Należy też pamiętać, że część duchowieństwa czynnie współpracowała z sowiecką partyzantką, a co najmniej 14 innych duchownych zginęło w 1943 roku na Wołyniu – z różnych powodów – z rąk ukraińskiego podziemia nacjonalistycznego (zaś nie mniej niż pięciu z rąk podziemia polskiego).

W licznych publikacjach pojawiają się informacje o agitacji duchowieństwa greckokatolickiego czy prawosławnego do zabójstw Polaków na Wołyniu czy też nawet w nich udziale. W tym pierwszym przypadku jest to nieporozumienie. Nieco inaczej wygląda sytuacja w przypadku kapłanów prawosławnych.

Faktycznie w relacjach oraz wspomnieniach odnaleźć można informacje o wspieraniu przez księży prawosławnych zbrodni popełnianych na Polakach. Do relacji tych podchodzić należy jednak z dużą dozą wątpliwości (choć nie należy wykluczać pojedynczych zdarzeń), tym bardziej, że milczą o nich najczęściej inne źródła. W archiwaliach innej proveniencji, które mogą pozwolić zweryfikować źródła memuarystyczne, można znaleźć tylko wzmiankę o jednym takim przypadku (przytaczanym zresztą od lat w ukraińskiej literaturze przedmiotu). Mowa o fragmencie specjalnego raportu Ukraińskiego Sztabu Partyzanckiego przekazanym Nikicie Chruszczowowi, w którym wspomina się o tym, że w Czartorysku pow. Łuck „popi stracili 17 Polaków” (dokument został po raz pierwszy upubliczniony w 1994 roku na Ukrainie i od tamtego czasu kilkakrotnie był przywoływany w tamtejszej literaturze historycznej). Wydarzenie to wymaga jednak dokładniejszych badań i weryfikacji.

Nie święcono broni

Szczególną uwagę zwrócić należy na powszechnie przywoływane w polskiej literaturze memuarystycznej (i nie tylko) przypadki tajemniczych spotkań na cmentarzach, „święcenia” chleba „na pohybel” polskim sąsiadom czy też tytułowego „święcenia” narzędzi zbrodni. Skoro takie przypadki wydają się wątpliwe, skąd informacje o nich w relacjach? Najczęściej wydarzenia te interpretuje się stereotypowym wyobrażeniem, zaczerpniętym z jednej ze scen z *Hajdamaków* – utworu ukraińskiego wieszczki Tarasy Szewczenki. Wydaje się jednak, że może być też inne wytłumaczenie. Wystarczy odwołać się do ludowych zwyczajów Wołynia oraz obrzędów chrześcijaństwa wschodniego.

Przede wszystkim pamiętać należy, że w tradycji wschodniej nie istnieje łąciński obyczaj Dnia Zadusznego czy dnia Wszystkich Świętych. Groby bliskich odwiedzane są w czasie pierwszego tygodnia (tzw. pomynałnyj tydzień; w luźnym tłumaczeniu – tydzień wspominkowy) po Wielkanocy. Odprawianym na cmentarzach modlitwom towarzyszy często spożywanie posiłków czy przynoszenie na mogiły pisanek. Podobnie było wiosną 1943 roku, gdy Wielkanoc wypadła 2 maja według kalendarza gregoriańskiego (19 kwietnia według kalendarza juliańskiego). Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że to właśnie o tym jest mowa w relacjach mówiących o „tajemniczych” spotkaniach ludności ukraińskiej na cmentarzu i „dziwnych” obrzędach tam odprawianych.

Prawdopodobnie także z tradycją kościelną łączyć należy pojawiające się w niektórych relacjach informacje o święceniu i wspólnym dzieleniu się chlebem „na zgubę Polakom” (tzw. wici chlebowe).

„W maju 1943 r. w cerkwi odbyła się uroczystość przyjęcia wici chlebowych [...] Na ołtarzu umieszczone zostały 3 wieńce, 3 chleby i trzy świeczki przyniesione z innej wsi ukraińskiej, a duchowny odczytał pismo nawołujące do wymordowania Polaków. W piśmie zapowiadano, że popłyną czerwone rzeki i będą jeziora polskiej krwi. Następnie było dzielenie się chlebem, którego zjedzenie miało zapewnić zbawienie. Pozostałe okruszki zostały zmiecione i dodane do ciast, z którego wypieczono dziewięć nowych chlebów, potem uwito dziewięć nowych wieńców i dodano dziewięć nowych świeczek. Całość po poświęceniu przez duchownego prawosławnego na kolejnym nabożeństwie została przez delegację zanieśiona do następnych wsi cerkiewnych. Do chlebów dołączone były pisma o tej samej treści” – stwierdzano w jednej z relacji. „W maju 1943 r. duchowny prawosławny święcił w cerkwi chleb, którym się dzielono i czytał pismo, z którego wynikało, że trzeba wymordować Polaków” – informowano w innej.

Wiele wskazuje, że chodzi tu o artos, tj. praśny – specjalnie w tym celu wypiekany – chleb, który po poświęceniu pierwszego dnia Wielkanocy jest wystawiany przez tydzień w cerkwiach, a następnie (w niedzielę św. Tomasza) dzielony między obecnych w świątyni, którzy zabierają jego części do domów lub dla swych rodzin, gdzie jest używany w podobnych celach jak woda święcona.

Innym wytłumaczeniem informacji zwartych we wspomnieniach może być święto św. Jerzego, obchodzone – według kalendarza kościelnego – w 17. tygodniu po Bożym Narodzeniu. W 1943 roku wypadło ono w czwartek 23 kwietnia, według kalendarza gregoriańskiego (6 maja, według

kalendaraż juliański). W tradycji ludowej – nie tylko na Wołyniu, ale też w na Bałkanach, w Estonii czy niektórych regionach Niemiec – uważano je za faktyczny początek wiosny. Tego dnia odbywały się procesje na pola, gdzie święcono ziemię „by dobrze rodziła”, po raz pierwszy wypuszczano bydło na pastwiska, na tzw. *jurijewu rosu* (w wolnym tłumaczeniu: na rosę Jerzego), a także święcono domy, budynki i... narzędzia gospodarskie. Wydaje się, że to właśnie ich późniejsze użycie w czasie ataków na polskie wsie zrodziło przekonanie wśród ocalałych, iż zostały poświęcone przez duchownych jako narzędzia mordów (przemawiałoby za tym to, iż przeważająca większość relacji o takich faktach pochodzi właśnie z końca kwietnia i maja 1943 roku). Z czasem informacje te, powiększane przez budzącą grozę plotkę, stały się powszechne.

Powyższe rozważania są, rzecz jasna, hipotezą, ale w moim odczuciu dosyć wiarygodną. Jak każde takie założenie ma ona także słabą stronę. Zakłada bowiem nieznaną przez miejscowych Polaków tradycję i zwyczajów ich sąsiadów – Ukraińców. Kłóciłoby się to z powszechną w polskiej memuarystyce opinią o zgodnym i wspólnym życiu obydwu społeczności. Być może więc ten obiegowy sąd jest zbyt wyidealizowany, a obydwie te grupy jednak żyły „obok siebie”? Szczególnie dotyczyłoby to miejscowych Ukraińców i polskich osadników z okresu międzywojennego.

Pamiętać także należy, że był to okres „przedsoborowy” i „przedekumeniczny”, gdy w relacjach katolicko-prawosławnych nie posługiwano się zwrotami w rodzaju „wschodnie i zachodnie płuco chrześcijaństwa”, ale używany był termin „schizmatycy”. Nie byłby to zresztą jedyny przypadek. Odwołać się można także do relacji chrześcijańsko-żydowskich, gdzie również obydwie wspólnoty mieszkaly „obok siebie”. To już temat do innej refleksji.

Igor Hałagida



[Pomnik Ofiar Rzezi Wołyńskiej w Warszawie](#)

Galeria zdjęć

